



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

**Treść Numeru:** Od redakcji. — Uczynność i Wdzięczność, komedia w czterech aktach z francuskiego Eugeniusza Labiche i Edwarda Hartin, przetłumaczona przez Miłosławę Kaszewską. — Zielone Okulary, fotografie bez retuszu zdjęt z natury, Wołody Skiba. — Przyczynki do historii literatury powszechnej. — Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Pogadanka. — Doniesienia literackie. — Symbolika kwiatów i roślin. — O ubiorach. — Rozmaitości.

### Od redakcji.

W przyszłym trzecim kwartale od 1 Lipca r. b. Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami.

Po ukończeniu powieści *Zielone okulary*, rozpoczniemy druk nowej oryginalnie napisanej przez p. Elżę Orzeszkową w dwóch tomach p. t. *Na prowincji*. Dla uniknienia przerwy w odbieraniu numerów, upraszamy o wczesne zapisy, przysyłając należytość wprost do Redakcji pod adresem do J. K. Gregorowicza w Warszawie ulica Żabia N. 956.

Prenumerata wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80, z przesyłką na prowincję zarówno w Cesarstwie jak Królestwie kwartalnie rs. 2 kop. 50.

## UCZYNNOŚĆ I WDZIĘCZNOŚĆ

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH

Z FRANCUSKIEGO

Eugeniusza Labiche i Edwarda Martin.

PRZETŁUMACZONA

przez Miłosławę Kaszewską

### OSOBY:

Agapit Perrichon.

Pani Perrichon, jego żona.

Anna, ich córka.

Hilary Desroches. } młodzi paryżanie.

Lucjan Savary.

Montfort, Major.

Dydak, urzędnik.

Jan, służący Perrichona.

Józef, służący Majora.

Oberżysta.

Przewodnik.

Urzędnik drogi żelaznej.

Posługacze.

Straganiarki.

Podróżni.

Rzecz dzieje się: w pierwszym akcie na dworcu kolei żelaznej w Paryżu; w drugim akcie w oberży w Montanvert pośród Alp; w trzecim i czwartym akcie w domu Perrichona w Paryżu.

### A k t I.

Stacja kolei żelaznej, wewnątrz dworca. — W głębi balustrada zamykająca salę oczekiwania — na prawo, okienko do odbierania biletów — na lewo, ławki. — Z prawej strony stragan z wiktuałami; z lewej strony stragan z książkami.

### Scena I.

Dydak. Urzędnik drogi żelaznej, Podróżni, Posługacze.

Dydak (chodząc niecierpliwie). I ten Perrichon nie przychodzi! Czekam na niego już przeszło godzinę... A przecież on dziś wyjeżdża do Szwajcarii z żoną i z córką... (gorzko) Rymarze wyjeżdżają sobie do Szwajcarii! Rymarze jeżdżą karetami! Oczasy! A ja tymczasem zarabiam dwa tysiące czterysta franków, a przecież, jako urzędnik, jestem pracowity, rozgarnięty, wieczne nad biurkiem schylony... Dziś zażądałem urlopu... powiedziałem, że jestem słaby... Muszę koniecznie zobaczyć się z Perryszonym przed odjazdem... chcę go prosić, aby mi pożyczył sześćset franków! Dopieroż to on przybierze postawę protekcyjną... będzie się nadymał... rymarz... to doprawdy złości biorą! No, i nie ma go! to jakby umyślnie. (do oficjalisty prowadzącego podróżnych) Panie, o której odchodzi kolej do Lyonu?..

Oficjalista (opryskliwie). Zapytaj się pan urzędnika (wychodzi na lewo).

Dydak. Dziękuję... trąb! (do Urzędnika, który stoi w okienku) Proszę pana, o której odchodzi kolej do Lyonu?

Urzędnik (opryskliwie). To do mnie nie należy! Masz Pan na afiszu (wskazuje mu afisze na kulisie lewej).

Dydak. Dziękuję... (na stronie) A to uprzejmi ludzie w administracji drogi żelaznej... poczekaj... jeżeli kiedy przyjdiesz do mojego biura... Zobaczmyż na afiszu... (wychodzi na lewo)

### Scena 2.

Urzędnik, Perrichon, Pani Perrichon, Anna. (wchodzą z prawej strony).

Perrichon. Tędy... trzymajmy się razem, bybys-

my się potem znaleźć nie mogli.. A gdzie nasze tłumaczki?.. (Spoglądając na prawo, w kulisie) Aha... do brze! A kto ma parasole?..

Anna. Ja, papo!

Perrichon. A torebka... okrywki?..

Pani Perrichon. Oto są!

Perrichon. A mój panama?.. masz tobie, musiałem go zostawić w dorożce! (zabiera się wyjść i staje) A, nie, trzymam go w ręku! Oh, jakże mi gorąco

Pani Perrichon. Dobrze ci tak!.. napędzasz nas, potracasz!.. ja nie lubię takiej podróży!

Perrichon. To tylko tak przyjeżdżcie... jak się już usadowimy... Wy stójcie tu, ja pójdę po bilety... (podając kapelusz Annie) Potrzyjmy no mi panamę... (w okienku) Proszę o trzy bilety do Lyonu!

Urzędnik. (opryskliwie) Jeszcze kassa nie otwarta.

Perrichon. Przepraszam... bo to ja pierwszy raz w drodze... (wracając do żony) Zawsześnieszmy przyszli.

Pani Perrichon. A nie mówiłam ci, że mamy jeszcze dość czasu.. Nie dałeś nawet przeknąć śniadania.

Perrichon. Lepiej zawsze być wcześniej, niżeli się spóźnić! (do Anny) No cóż Andziu, kontenta jesteś? Już jedziemy!.. za kilka minut pomkniemy ku Alpom szybciej niż strzała Wilhelma Tella! (do żony) A wzięłaś lornetę?

Pani Perrichon. Wzięłam.

Anna, (do ojca). Nie wymawiając, ojczu, ale będzie już ze dwa lata, jak nam przyrzekłeś tę podróż.

Perrichon. Widzisz moja córko, musiałem wprzód ułatwić się ze sprzedażą mego zakładu. Handlujący nie tak łatwo wychodzi z interesów jak panna z pensji. Zkądinaż czekałem aż ty skończysz edukację, aby ją uzupełnić, i rozwinąć przed tobą wielki widok przyrody.

Pani Perrichon. Przestałbyś też mówić tym tonem.

Perrichon. Jakto?..

Pani Perrichon. Poco te deklamacje na stacji kolei żelaznej?

Perrichon. To nie deklamacje... ja kształcę pojęcia mego dziecka! (dobywając pugilares) Andziu,



masz oto pugilares z tabliczką, który kupiłem dla ciebie.

*Anna.* Do czego?

*Perrichon.* Z jednej strony będziesz na tej tabliczce zapisywać rozchód, a z drugiej wrażenia.

*Anna.* Jakie wrażenia?

*Perrichon.* Wrażenia nasze z podróży! Ty będziesz pisać, a ja będę dyktował.

*Pani Perrichon.* Cóż to, czy ci się znowu zachciewa autorstwa?

*Perrichon.* Tu nie chodzi o autorstwo... ale zdaje mi się, że człowiek światowy może mieć myśli i spisywać je na tabliczce.

*Pani Perrichon.* To będzie prześlicznie.

*Perrichon* (na stronie). Ona ma zawsze taki humor, jak nie wypije kawy.

*Posługacz.* (posuwając wózek z tłumoczkami) To są pańskie rzeczy. Może je pan każe zapisać.

*Perrichon.* Dobrze, tylko je wprzód porachuję, bo to jak człowiek wie wiele ma... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... żona siódma, córka ósma, a ja to dziewięć. Więc dziewięć.

*Posługacz.* To już można?

*Perrichon.* (biegnąc do głębi). Prędkiej, tylko prędkiej.

*Posługacz.* Nie tędy, proszę tu (pokazuje mu na lewo).

*Perrichon.* Aha! dobrze... (do kobiet) Czekajcie tu na mnie! żebyśmy się nie zgubili! (Idzie spiesźnie za posługaczem)

### Scena 3.

*Pani Perrichon, Anna, Lucjan.*

*Lucjan.* (wchodzi z Posługaczem niosącym walizkę). Czekaj no, bo ja sam jeszcze nie wiem gdzie się obrócić. (Sposstrzega Annę) To ona... nie zawiodłem się! (Kłania się Annie, ta oddaje mu ukłon).

*Pani Perrichon.* Kto jest ten pan?..

*Anna.* Jest to kawaler, z którym tańczyłam na balu prefektury w przeszłym tygodniu.

*Pani Perrichon* (żywo). A! on tańczy! (kłania się Lucjanowi).

*Lucjan.* Pani!.. (do Anny) pani!.. błogosławię przypadkowi... czy panie jadą?

*Pani Perrichon.* Jedziemy.

*Lucjan.* Zapewne do Marsylii..

*Pani Perrichon.* Nie, panie.

*Lucjan.* To może do Nicei?

*Pani Perrichon.* Nie, panie.

*Lucjan.* Przepraszam... myślałem... że gdyby moje usługi...

*Posługacz* (do Lucjana). Panie, panie! prędkiej już czas na rzeczy.

*Lucjan.* A, prawda. (na stronie) Chciałbym się dowiedzieć gdzie jadą, nim wezmę bilet... (kłaniając się) Żegnaj panie... (n. s.) To rzeczą główną, że jadą, jeszcze będzie czas dowiedzieć się w wagonie. (wychodzi na lewo).

### Scena 4.

*Pani Perrichon, Anna, Hilary.*

*Pani Perrichon.* Jakiś bardzo przyzwoity młodzieniec.

*Hilary.* (z torebką w ręku, — do Posługacza). Zanieś tam moją torebkę do wagi... ja zaraz nadejdę. (sposstrzega Annę) To ona! (ukłony)

*Pani Perrichon.* Co to za jeden?

*Anna.* To także kawaler, z którym tańczyłam na balu prefektury.

*Pani Perrichon.* A coż to, czy oni się zmówili, czy co? Nic nie szkodzi, i ten tańczy. (kłaniając się) Panie!

*Hilary.* Pani!.. (do Anny) pani!.. błogosławię przypadkowi... panie jadą...

*Pani Perrichon.* Jedziemy.

*Hilary.* Zapewne do Marsylii..

*Pani Perrichon.* Nie.

*Hilary.* To może do Nicei?

*Pani Perrichon.* (n. s.) No, słowo w słowo jak tamten (głośno). Nie, panie.

*Hilary.* Przepraszam... sądziłem... że gdyby moje usługi...

*Pani Perrichon.* (n. s.) Widać, że oni obaj pochodzą z jednej prefektury.

*Hilary* (n. s.) No, to się niewiele dowiedział. Ale to nic... zapiszę rzeczy i wrócę. (kłania się) Żegnaj panie.

### Scena 5.

*Pani Perrichon, Anna, Perrichon, Dydak.*

*Pani Perrichon.* To jakiś bardzo przyzwoity młodzieniec... Ale coż to ojciec porabia? już nogi mi drętwieją.

*Dydak* (wychodzi z lewej strony). Omyliłem się, ten pociąg odchodzi dopiero za godzinę!

*Anna.* A! pan Dydak!

*Dydak* (n. s.) Przecież się ich doczekał!

*Pani Perrichon.* To pan! Nie w biurze?

*Dydak.* Wziąłem urlop, dobra pani! Nie chciałem was puścić bez pożegnania.

*Pani Perrichon.* I dlatego pan przyszedł aż na kolęje? A, to bardzo grzecznie.

*Dydak.* A gdzież się podziewa pan Agapit?

*Anna.* Ojciec poszedł z rzeczami.

*Perrichon.* (wpada biegnąc — w kulisie). Naprzed biletu! — dobrze!

*Dydak.* Otóż i nadchodzi! Dzień dobry, kochany przyjacielu mój!

*Perrichon* (bardzo zajęty). A, to ty! dobrześ zrobił, żeś przyszedł... Przepraszam cię, bo spieszę po bilety (porzuca go).

*Dydak* (n. s.) Grzeczny!

*Perrichon* (do Urzędnika w okienku). Panie, tam nie chcą przyjąć odemnie rzeczy, póki nie kupię biletów.

*Urzędnik.* Kassa jeszcze nie otwarta! proszę poczekać.

*Perrichon.* Tu wołają: czekaj! tam wołają: spiesz się! (ociera czoło) Jestem cały w potach.

*Pani Perrichon.* A ja ustać już na nogach nie mogę.

*Perrichon.* To usiądź, kochanie! (ukazując wgląd na lewo) Tam przecież są ławki... pocóż macie tu stać jak dwa sztyldwachy.

*Pani Perrichon.* Tożes nam sam powiedział: stójcie tu! a teraz znowu co innego. Jesteś nieznosny.

*Perrichon.* Przepraszam cię, Uranjo!

*Pani Perrichon.* Ah, już mi kością w gardle stoi ta twoja podróż.

*Perrichon.* Jak to zaraz znać, żeś nie dopiła kawy. Siadaj oto, siadaj.

*Pani Perrichon.* No dobrze, tylko się pospiesz. (usiada w głębi z Anną).

### Scena 6.

*Perrichon, Dydak.*

*Dydak* (n. s.) Rozkoszne małżeństwo.

*Perrichon* (do Dydaka). To ona tak zawsze, jak z rana nie wypije kawy... Pocziwy Dydaku! jakżem ci wdzięczny, żeś do nas przyszedł.

*Dydak.* Chciałem ci wreszcie parę słów powiedzieć.

*Perrichon* (roztargniony). A tłumoczki nasze zostały tam na stole... Jestem niespokójny! (głośno) Pocziwy Dydaku! jakżem ci wdzięczny, żeś do nas przyszedł. (n. s.) Może by tam pojsć, albo co...

*Dydak.* Chciałem ci prosić o jedną przysługę.

*Perrichon.* Mnie?..

*Dydak.* Oto widzisz, wyprowadzam się... gdybyś mi mógł pożyczyć ze sześćset franków.

*Perrichon.* Jaki! tutaj?..

*Dydak.* Zdaje mi się, że ci zawsze akuratnie oddawał, com od ciebie pożyczył.

*Perrichon.* Nie chodzi o to!

*Dydak.* Przepraszam, mnie właśnie chodzi o to... Osmego przyszłego miesiąca odbieram dywidendę z akcji statków parowych; mam akcji dwanaście... i jeżeli mi nie wierzysz, to dam ci te akcje w zastaw.

*Perrichon.* Co zaś? co zaś! jaki żeś ty głupi!

*Dydak* (sucho). Dziękuję.

*Perrichon.* Bo po diabła też przychodzisz z tem do mnie na sam wyjazd?.. wzięłem z sobą tyle tylko pieniędzy, ile mi potrzeba na drogę.

*Dydak.* Ha, jeżeli ci to nie na rękę... to dajmy

pokój. Pójdę do lichwiarza, który zedrze ze mnie po jakie pięć od sta na miesiąc... jeszcze przez to nie umrę!

*Perrichon* (dobywając pugilares). No, nie gniewaj ze się!.. masz oto sześćset franków, tylko nie mów mojej żonie.

*Dydak.* Dobrze, na termin oddam z pewnością. Szczęśliwej drogi, bądź zdrow. (n. s.) Ileż to ceremonii dla głupich sześciuset franków — i to jedzie do Szwajcarii!.. Rymarz!.. (znika na prawo)

*Perrichon.* Spisał się... nawet mi nie powiedział: dziękuję! Ale w gruncie, zdaje mi się, że on mnie kocha. (sposstrzegając okienko otwarte) Oho — już sprzedają bilety!.. (Pędzi, rozpychając kilka osób przed oknem).

*Jeden z podróżnych.* Ostrożniej, panie, ostrożniej.

*Urzędnik* (do Perrichona). Niech no pan nie rozpycha — proszę czekać aż kolęje na pana przyjdzie!

*Perrichon* (n. s.). A moje tłumoczki, a moja żona, (staje na końcu szeregu).

### Scena 7.

*Ciż, Major Montfort, za nim Józef z walizką.*

*Montfort.* Rozumiesz mnie?

*Józef.* Rozumiem, panie Majorze.

*Montfort.* A jak się będzie pytała, gdzie jestem, kiedy powrócę... odpowiadaj: że nie wiesz... Nie chcę ani słyszeć o niej.

*Józef.* Dobrze, panie Majorze.

*Montfort.* Powiesz Anicie, że wszystko między nami skończone... zupełnie skończone.

*Józef.* Dobrze, panie Majorze.

*Perrichon.* Mam przecie bilety!.. a teraz do wagi czempredziej... A, to aż głowa pęka człowiekowi, nim się dostanie do Lyonu (wybiega pędem).

*Montfort* (do Józefa). Czy mnie dobrze zrozumiałeś?

*Józef.* Z przeproszeniem pana majora, — to się na nic nie zdało panu majorowi wyjeżdżać.

*Montfort.* Dlaczego?

*Józef.* Bo za powrotem pan major znowu pokocha pannę Anitę.

*Montfort.* Oh o!

*Józef.* Lepiej by było wcale jej nie porzucać, przeprosiny zawsze coś pana majora kosztują.

*Montfort.* Na ten raz to już rzecz stanowcza i nieodwołalna. Anita stała się niegodną mojego uczucia i względów jakie miałem dla niej.

*Józef.* Coprawda, to ona niszczy pana majora. Dziś zrana znowu był komornik... a komornicy, to jak robaki, niech się tylko raz gdzie w mieszkaniu pokażą... bądź zdrow!

*Montfort.* Za powrotem urządzę wszystkie moje interesa... bądź zdrow.

*Józef.* Szczęśliwa droga panu majorowi.

*Montfort* (zbliża się do okienka i wraca). Ale! napiszesz do mnie do Genewy, poste-restante... doniesiesz mi o swoim zdrowiu...

*Józef* (pogłaskany). Pan major tak łaskaw...

*Montfort.* A przytem powiesz mi, czy się zasmuceno po moim odjeździe, czy płakano...

*Józef.* Gdzie i kto, panie majorze.

*Montfort.* No, już ciż Anita.

*Józef.* Oj, już to ani chybił, pan major ją pokocha na powrót.

*Montfort.* Nigdy!

*Józef.* Byłby to już ósmy raz. Przykro mi pa-trzeć, żeby takiego człowieka jak pan major szarpali wierzyciele... i dla kogo? dla jakiejś tam...

*Montfort.* No dobrze, dobrze! Daj mi walizkę i pisz do mnie do Genewy. Nie masz się co spieszyć, dosyć będzie jutro, a wreszcie choć i dziś wieczór. Bywaj zdrow.

*Józef.* Szczęśliwej podróży, panie majorze! (n. s.) On wróci jeszcze przed tygodniem! Oj, kobiety! Oj, mężczyźni! (wychodzi — Major bierze bilet i wchodzi do sali).

### Scena 8.

*Pani Perrichon, Anna, później Perrichon, Posługacz.*

*Pani Perrichon* (wracając z córką z głębi). Zmordowałam się tem siedzeniem.



*Perrichon* (wbiega). Skończyło się nareszcie; już mam i bilety i kwity.

*Pani Perrichon*. A przecież!

*Posługacz* (z pustym workiem). Pan dobrodzień będzie łaskawy!.. tłumoki takie ciężkie...

*Perrichon*. Al! prawda... zaczekaj... (porozumiewając się z żoną). Co jemu dać? dziesięć centymów dosyć?...

*Pani Perrichon*. Piętnaście.

*Anna*. Dwadzieścia.

*Perrichon*. Niechże będzie dwadzieścia! (daje mu). Masz na piwo.

*Posługacz*. Mało proszę pana.

*Perrichon*. To ci dodam za powrotem. (*Posługacz* odchodzi.)

*Pani Perrichon*. Pójdziemy do sali?

*Perrichon*. Chwilkę. Andziu, weź no pugilares i pisz.

*Pani Perrichon*. Już!

*Perrichon*. (dyktuje). Wydatek: doróżka dwa franki, kolój sto siedmdziesiąt dwa, rzeczy szesnaście, posługaczowi to już wiesz.

*Anna*. Napisałam.

*Perrichon*. Poczekaj, a teraz wrażenia.

*Pani Perrichon* (na str.). On jest nieznośny.

*Perrichon*. (przerywa). Ale! a mój panama!... pewniem go zostawił przy tłumoczkach (chce wybiedz).

*Pani Perrichon*. Ależ nie, jest tu!

*Perrichon*. Al! prawda. (Słychać świst lokomotywy, następnie dzwon, kilku podróżnych przebiega.)

*Pani Perrichon*. Sygnał, jeszcze się spóźnimy przez ciebie.

*Perrichon*. Chodźmy, skończymy potem! — (Urzędnik ratrzykuje go przy balustradzie. *Perrichon* kłóci się znakami to z żoną, to z córką, nareszcie znajduje bilety w kieszeni. Wchodzą do sali.)

#### Scena 9.

*Hilary, Lucjan, później Perrichon.*

(*Lucjan* wzięwszy bilet potrąca *Hilarego*, który stoi przy okienku.)

*Hilary*. Cóż znowu!

*Lucjan*. A co ja temu winien!

*Hilary*. Lucjan!

*Lucjan*. To ty, Hilary!

*Hilary*. Odjeżdżasz?

*Lucjan*. Odjeżdżam, a ty?

*Hilary*. Ja także.

*Lucjan*. A to wybornie! pojedziemy razem, mam wyborne cygara. A dokąd ty jedziesz?

*Hilary*. Doprawdy, sam jeszcze nie wiem.

*Lucjan*. A to przedziwne, bo i ja nie wiem! Wziąłem bilet do Lyonu.

*Hilary*. Doprawdy? ja także. Zamierzyłemjechać za jedną panienką bardzo ładną.

*Lucjan*. I ja także.

*Hilary*. Za córką rymarza.

*Lucjan*. Czy nie *Perrichona*?

*Hilary*. *Perrichona*.

*Lucjan*. To ta sama.

*Hilary*. Ależ ona mi się bardzo podobała, mój *Lucyane*.

*Lucjan*. I mnie także, mój *Hilary*.

*Hilary*. Ja chciałbym prosić o jej rękę.

*Lucjan*. Ja chciałbym się z nią ożenić... co prawie na jedno wychodzi.

*Hilary*. Ależ nie możemy się z nią żenić oba.

*Lucjan*. U nas przynajmniej niewolno.

*Hilary*. Cóż tu począć?

*Lucjan*. Nic łatwiejszego. Ponieważ jesteśmy już jedną nogą w wagonie, jedźmy razem, bawmy się wesoło i starajmy się podobać każdy na swoją rękę.

*Hilary* (z uśmiechem). Więc to ma być konkurs, czy turniej?

*Lucjan*. Współzawodnictwo prawe i przyjacielskie. Jeżeli ty zwyciężysz, ja ustąpię; jeżeli ja odnozę tryumf, ty nie będziesz miał do mnie urazy. czy zgoda?

*Hilary*. Zgoda.

*Lucjan*. Podajmyż sobie ręce przed bitwą.

*Hilary*. I po bitwie (podając ręce).

*Perrichon* (wpada biegnąc w kulisie). Mówię ci że jeszcze czas.

*Lucjan*. Patrzaj to nasz teść.

*Perrichon* (do sprzedającej książki). Moja pani, chciałbym jakieś książki dla żony i dla córki, takie książki, któreby nie mówiły ani o handlu, ani o polityce, ani o zalecankach, ani o małżeństwie, ani o śmierci.

*Lucjan*. (na str.) To chyba *Robinsona*.

*Straganiarka*. O jest tu jedna akurat dla pana (daje mu książkę.)

*Perrichon*. (czyta). „Podróże *Gulliwer*“: dwa franki! (płaci). Zaręczasz pani, że tam niema głupstw jakich? (Uderzenie dzwonu). O do licha! żegnam panią! (wybiega.)

*Hilary*. Pójdźmy za nim!

*Lucjan*. Pójdźmy! Chciałbym się jednak prędkiej dowiedzieć, gdzie jedziemy.

(Znowu świst lokomotywy, — podróżni biegną. — Obraz.)

Koniec aktu pierwszego.

(d. c. n.)

#### ZIELONE OKULARY.

FOTOGRAFJE BEZ RETUSZU

zdjęt z natury

Włodzy Skiba.

(Dalszy ciąg).

#### IV.

Rozmowa ogólniejsza zawiązała się szybko. *Panna* *Julja* bardzo zręcznie wyprowadziła ją z dziedzi-ny ekonomji politycznej i umieściła w sferach przystępniejszych dla pana *Jana*. *Pan Jan* uczuł dla niej z tego powodu jakąś wdzięczność, wdzięczność która tem niewymowniejszą się stawała, że od chwili pokazania się córki zapał ekonomiczny pana *Anzelma* zmalał tak dalece, iż ograniczał się do wypowiadania pojedynczych prawd i uwag, gdy przedtem każde jego odezwanie się było całym łańcuchem tych zdań i spostrzeżeń. Widocznie córka miała w domu przywilej prowadzenia rozmowy i używała go w sposób, który do reszty oczarował pana *Jana*, zostającego już pod wpływem uroku jej pierwszego ujrzenia.

*Pan Jan* został urzeczonym rzeczywiście, bo niech sobie kto chce wiarę w uroki przesądem nazywa, my w nie wierzymy szczerze. Uroczę czy spojrzeniem wywołują chorobę serca, jest to prawdą niezawodną, a to co zwą przesądem o tyle tylko jest błędem, że nie wszystkie serca tylko niektóre wpływem tego uroku jednej i tej samej pary oczu ulegać mogą. Błędem jest także i przesądem rzeczywistym mniemać, żeby urok odczynić było można zatopieniem w wodzie trzech kawałeczków chleba, z trzema kawałkami węgla i wymawianiem pewnych słów potężnych... urok gdy na serce podziała, jeżeli nie jest nieuleczonym, to przynajmniej leczy się bardzo trudno, i nawet po wyzdrowieniu wieczne po sobie pozostawia ślady.

Aż do chwili ujrzenia panny *Julji*, *pan Jan* miał przeciwko urzeczaniu amulet. W krainie serca wiele takich rzeczy które w życiu powszedniem są urojeniem, ma być rzeczywisty, jak się o tem czytelnicy przekonali. Skoro tylko *pan Jan* przypadkiem pozbawiony swego amuletu, spotkał spojrzenie uroczę, nie tylko uległ urokowi, ale nawet zielone okulary utraciły swoją siłę czarodziejską.

Podniósł je napowrót i włożył, spojrzał przed nie na tę co go urzekła i piękność jej nie straciła bynajmniej swojego blasku dla niego. Oczy widziały przez warstwę zielonego szkła obraz bledszy i mniej ponętny, pamięć i wyobrażenia stawiała przed nim bez ustanku to, co raz ujrzał w całym uroku piękności i wdzięku.

Serce biło w jego piersi tak żywo, jak się tego przez ciąg lat trzydziestu pięciu nie dopuściło ani razu. Dało ten znak że już nie śpi, a jego przebudzenie się robiło panu *Janowi* dziwną jakąś i do tej chwili wcale nieznaną przyjemność.

Zwyczaj nie pozwalający przedłużać pierwszych

wizyt był przyczyną, że po wejściu panny *Julji* rozmowa nie trwała długo. Wkrótce po tem *pan Jan*, wraz z sąsiadem który go wprowadził, wyszli z domu państwa *Anzelmów*, obraz jednak ich jedynaczki pozostał jak odfotografowany na szkłe okularów pana *Jana*. Zawiózł on go z sobą do swojego mieszkania, coraz więcej powabów w nim upatrywał, i gdy tylko był wolnym od zajęć urzędniczych lub od pełnienia uciążliwych obowiązków właściciela domu, nie mógł przestać myśleć o nim i lubować się nim na chwilę.

— Stało się, — powiedział do siebie, — znalazłem partję jakiej mi potrzeba. Majątek, stanowisko, wiek najodpowiedniejszy. Te trzy okoliczności możnaby łatwo znaleźć gdzieindziej. *Panien* na wydaniu nie braknie. Ale żeby gdzie znalazł osobę, której piękność tak byłaby dla mnie sympatyczną, rozsądnie myśląc przypuścić nie mogę. — Mam już to czego szukałem.

W tym monologu pierwszym od ujrzenia panny *Julji*, nie było jeszcze wzmianki o sercu. *Pan Jan* sądził zrazu, że kiedy mu się panna podobała, kiedy przytem wszystkie inne warunki były odpowiednie, nie już nie brakowało do zawarcia małżeństwa, i cieszył się tak jakby już wychodziły zapowiedzie.

Za drugim i trzecim ujrzeniem panny *Julji* *panu Janowi* przyszło na myśl, że nie byłoby od rzeczy i nie zagrażałoby bynajmniej szczęściu przyszłego stadła, gdyby i strona przeciwna z równem zadowoleniem przystępowała do związku, jak on do niego przystępował. Inaczej mówiąc *pan Jan* osądził, że powinien jakim sposobem dojść do pewności, że i on także podoba się pannie *Julji*, że jego przyszła żona zgadza się na małżeństwo, nie tylko dla tego, że ich stanowiska towarzyskie są odpowiednie, że ich majątki są prawie równe, że ich lata nie stanowią rażącego kontrastu, lecz i dla tego jeszcze, że dla niego uczuwa pewną sympatię. Z razu miał zamiar interes cały poprowadzić prędko, oświadczyć się formalnie i dzień ślubu na bliski termin oznaczyć, teraz zdecydował się czekać dopóki jakiegoś objawu tego przychylnego usposobienia nie upoluje.

Do warunków pod jakimi *pan Jan* chciał zawrzeć małżeństwo przybył więc jeszcze jeden, który przewlekał całą sprawę. Poważny człowiek jak *pan Jan*, zadawał sobie kłopot starania się o sympatię panny, którejby mu według wszelkiego prawdopodobieństwa nie odmówiono, gdyby się tylko ograniczył na tem, żeby antypatii nie wzbudzać o co zresztą nie było obawy. Był to więc kłopot wcale nie potrzebny, warunek narzucony, bez którego obeszło by się doskonale.

W tej pretensji do podobania się, którą *pan Jan* uczuł tak nagle, znać już było że uległ wpływowi serca, chociaż się nie domyślał, że to jego sprawa, że to ono podyktowało mu ten warunek, i że zgadzając się na jego żądanie, ośmielał je do wystąpienia jeszcze jawniej i do stawiania jeszcze śmielszych żądań.

Gdy *pan Jan* poszedł po raz czwarty i piąty z wizytą do państwa *Anzelmów*, studjował pilnie obejście panny *Julji*, każdy jej uśmiech i każde jej słówko obserwował i troskliwie zapisywał w pamięci, powróciwszy do domu zdawał sobie sprawę ze wszystkich swoich spostrzeżeń i przyszedł do wniosku, że panna nie czuje dla niego antypatii, że jest mu nawet życzliwą. Pierwsza część tego twierdzenia była jasną jak niezawodność sama, druga wydawała się bardzo, bardzo mało wątpliwą.

— Jeżeli tak to się mogę oświadczyć, — rzekł do siebie.

Tu serce jego zabrało głos. Zachowując zawsze najściślejsze incognito, przybrało na siebie maskę rozsądku i szepało:

— Nie byłoby od rzeczy, panie *Janie*, gdyby cię narzeczona twoja kochała.

— Kochała? — powtórzył *pan Jan*, oglądając się dokoła, jakby nie wiedział z kąd mu ten wyraz wpadł do ucha, — czyż miłość jest konieczną w małżeństwie?

Serce grało rolę rozsądku, więc nie odpowiedziało na to pytanie z takim zapałem, jak zwykło na podobne pytania odpowiadać, tylko pożyczło języka od rozsądku.



— Konieczną, niekonieczną, -- szepnęło, — o tem rozprawiać nie widzę potrzeby, sądzę jednakże, że miłość w małżeństwie nie jest rzeczą zbyteczną nigdy, a zawsze jest rzeczą przyjemną.

Nie była to argumentacja ani zbyt długa ani zbyt silna, pan Jan przecież dał się nią przeniknąć.

— Tak, — rzekł do siebie, — chcę, żeby mnie moja narzeczona kochała.

I poszedł znów do państwa Anzelmów i oczyma zaczął zadawać pannie Julji pytania czy go kocha? ale widząc jej oczy przez szkła zielonych okularów tych pytań w jego wzroku wyczytać nie mogli, bo mu na nie nie odpowiadały wyraźnie.

Wrócił więc do siebie pan Jan, i — jak to widzieliśmy na początku powieści, — zadał kabałce wskazujących palców tę samą kwestję, której rozwiązania napróżno szukał w spojrzeniu bogdanki.

Kabałka odpowiedziała wątpliwie, jak niegdyś wyrocznia delficka.

— *Ajo te, panie Janie, Romanos vincere posse.* To jest mówię ci, że zwyciężysz Rzymian lub będziesz przez nich zwyciężonym.

Z całej tej odpowiedzi pan Jan tylko tyle zrozumiał, że Rzymianie znaczą serce panny Julji.

Medytując nad tą wyrocznią tak dwuznaczną, przyszło mu dopiero na myśl, że serce jego własne nie musi być obcem całej tej sprawie. Poznał je wyraźnie, pomimo maski, w tej nagłej chęci obudzenia miłości. Chętki podobne miewa czasem rozum, ale tylko rozum spekulantów na posag. Oni jedynie mogą pragnąć żeby się panna zakochała, bo to prowadzi ją do ołtarza, a jej majątek daje do rozporządzenia temu, co miłość obudzić potrafił. Komu spekulacja tego rodzaju jest obcą jak była panu Janowi, ten podobnej chętki powziąć nie może, chyba sercem. Udział więc serca, jego intryga przeciw regularnemu biegowi interesów pana Jana, były rzeczą udowodnioną. Pan Jan ujrzał się nagle pod jego wpływem i bez oporu poddał się temu wpływowi. Powiadał sobie, że serce jest nie odpowiedzialnem za to co robi, i nie spostrzegł potrzeby wydarca mu kierunku swoich czynności.

Zdemaskowane serce pana Jana nie myślało dłużej stroić się w piórka rozsądku zainteresowane wyraźnie, odezwowało się też bez ogródek.

— Tak tylko ja jeden mieć muszę podobne chętki... Nigdy jednak nie żądam miłości inaczej tylko pod formą wzajemności... Jestem jak elektryczność która dąży do połączenia z elektrycznością przeciwną... Chcę być kochanym, bo... kocham.

Pan Jan zastanowił się nad tem zdaniem i uznał je bardzo trafnem.

— Tak, ja ją kocham, — rzekł do siebie, — i dla tego chcę być kochanym... serce moje jest jak elektryczność.

Takim to było zakochanie się pana Jana. Że do niego prędzej z winy okularów nie przyszło, nie w ten dziwny sposób, jak wiadomo, jest złym przewodnikiem elektryczności.

## V.

Ojciec ekonomista z matką, której los bardzo ekonomicznie udzielił inteligencji, mogli wychować córkę najodpowiedniej na małżonkę tak poważnego człowieka jak pan Jan.

Panna Julja była w każdym razie partją właściwą dla naszego bohatera. Jeżeli jego serce spało do lat trzydziestu pięciu, jej serduszko spało do lat dwudziestu. W chronologii serdecznej jest to prawda wszystko jedno, jeśli weźmiemy na uwagę, że on był mężczyzną, ona kobietą. Mężczyźni rozwijają się daleko później niż kobiety, a żywotność ich serdeczna, mniej może gorąca trwa dłużej. Tym sposobem pan Jan nie omylił się podobno licząc, że jeżeli dla szesnastoletniego dziewczęcia, najwłaściwszym jest dwudziesto-cztero letni mężczyzna, to dla dwudziesto letniej panny, trzydziesto-kilko-letni narzeczony nie jest ani za starym ani za młodym.

Co do pojęć o właściwości i doboru stadła pod względem stanowiska socjalnego i majątkowego, panna Julja była podobnie zgodną z panem Janem. Nie marzyła nigdy o chatce w lesie, to prawda, ale też za to nigdy jej się nie śnił królewicz w złocistej

karocie. Co pan Jan myślał o spekulantach posagowych, ona myślała o spekulantkach hymenu. Teoria u obojga była zgodną z praktyką, oboje byli przekonani, że dobraćszej partji nad siebie wzajem znaleźć im byłoby trudno.

Zachodziły prócz tego między nimi pewne podobieństwa, o których nie wiedzieli oboje. Jak pan Jan nie był ideałem piękności męskiej, tak panna Julja nie była żywym wcieleniem estetyki niewieściń rysów. Mimo to oboje spodobał się sobie nie zwykle. On w niej znalazł piękność uosobioną, klasyczną, do czego, chociaż była rzeczywiście wcale przystojną, było jej bardzo daleko, ona w nim upatrzyła typowo piękne męskie rysy, chociaż mu do nich wiele brakowało. Na jedno i na drugie wpływało zapewne mimo ich wiedzy to, że wiedzieli że są dla siebie pod każdym światowym względem odpowiedniemi, a przyczynił się do powiększenia tego wpływu wypadek z okularami. Wiemy już jak to oddziaływało na pana Jana, a co do panny Julji, ta widząc go po raz pierwszy przez chwilę bez okularów, doznała ogólnie dobrego wrażenia i kiedy potem zastanawiać się bliżej zaczęła nad harmonią jego rysów, a układ ich nie tak bardzo przypadł do jej estetycznych pojęć, przypisywała to okularom, po za którymi wyobraźnia jej przedstawiała oczy daleko wyrazistsze i piękniejsze niż były w istocie. Wmówiła w siebie, że te oczy, widziała w pierwszej chwili, wierzyła że tam są zawsze, domyślała się ich, odgadywała je, przypominała je sobie. Im więcej czasu upływało od pierwszej wizyty, im bardziej w pamięci zacierał się obraz pana Jana bez okularów, tym wyobraźni zostawało więcej pola do działania, i tymbardziej tworzony przez nią obrazek różnił się od rzeczywistości.

Pan Jan zyskiwał na tem, za każdą nową wizytą spotykało go życzliwsze przyjęcie, serce jego poznawało się na tem i stawiało, jak już widzieliśmy, coraz nowe, coraz śmielsze, coraz więcej romansowe warunki; aż nareszcie człowiek, który na kwestję małżeństwa patrzył okiem zimnej rozważy, przyznał się przed sobą, że kocha i uczuł potrzebę wzajemności.

Toż samo mniej więcej dzieć się musiało w sercu panny Julji: dotychczas zostawała ją ono w spokoju, zajmowała się więcej najdrobniejszym szczegółem toalety niż niem. Ojciec jej mówił nieraz o małżeństwie z ekonomicznego stanowiska, wiedziała że jej przyjdzie kiedyś w praktyce przeprowadzić teorię ojca, nie czuła jednak potrzeby przyspieszać tej ekonomicznej kwestji. Harmonijnie dobrane stosunki majątkowe i socjalne miały być, według pana Anzelma, niezawodną gwarancją szczęścia w życiu, panna Julja nie troszczyła się więc o to szczęście, wiedząc że ono prędzej czy później zagwarantowaniem zostanie.

Nim przyszło do wprowadzenia pana Jana, pan Anzelm powiedział swojej córce, że pozna w nim człowieka, który byłby dla niej najodpowiedniejszym na męża, a córka prawie mimowolnie zadała sobie pytanie, czy też ów pan Jan będzie w jej guście czy nie? Nie wiedzieć czemu zdawało jej się, że gdyby był przystojnym, byłoby to jeszcze jedną szczęścia gwarancją, o której ojciec nie wspominał.

Gwarancja się znalazła. Nie wiadomo jakby panna Julja postąpiła, gdyby jej nie było, — to pewna że była z niejszczerze kontenta.

Z biegiem czasu przyszło jej na myśl, że kiedy mogła być jedna gwarancja nie objęta teorią ojca, to ich mogło być i więcej takich o których Malthus albo Bastiat nie wiedzieli.

I zupełnie prawie tak samo jak pan Jan powiedział sobie, że nie byłoby nic złego, gdyby pan Jan zenił się z nią nie tylko dla tego, że ich związek jest odpowiednią partją. Chciała mieć pewność, że wybrałaby ją nawet wtenczas, gdyby miał do wyboru między kilką lub kilkunastą partjami również harmonijnymi pod względem ekonomicznym. Jednym słowem, chciała mieć nawet dowód że mu się podobą.

Od tego zadania, do takiego jakie sobie postawił pan Jan, był już tylko krok jeden.

Bohaterka nasza doszła do przekonania, że w mał-

żeństwie i miłość jest jedną z gwarancji szczęścia. Zrobiwszy to odkrycie tak się niemi zaślepiła, jak zwykle odkrywcy i wynalazcy swemi zdobyczami naukowemi lub przemysłowemi. Uznała, że Malthus i Bastiat, alfa i omega jej ojca, powinni byli zacząć od tego warunku. Wszystkie inne uznała nagle za dodatkowe, lubo przeczyć ich trafności nie śmiała.

Była to logika serca, które się obudziło, tak jak się obudziło serce pana Jana. Panna Julja zapragnęła być kochaną i mieć dowód że jest kochaną, nim rozwiąże kwestję ekonomiczną, jaką życie zadaje pannom na wydaniu.

Być kochaną, jeszcze to łatwiej, ale mieć dowód prawdziwej miłości, w tem jest najtrudniejsze zadanie.

Zadanie to stało się od tego czasu prawie wyłącznym przedmiotem rozmyślań naszej bohaterki.

— Oświadczy mi się, — mówiła nieraz do siebie: i powie że mnie kocha... ale czy to dowód miłości?.. Każdy co się oświadcza tak powiada, a iluż mówi prawdę?.. Gdyby partja nasza była choć cokolwiek nie tak dobrze dobraną, byłoby to jakimś dowodem jego szczerości... ale kto tak na zimno jak on rozważał wszystkie stosunki, kto tak wszystko wyrachował i wymierzył, jakż może dać dowód że kocha?..

W tych myślach był rodzaj zarzutu. Panna Julja nie zastanawiała się nad tem, że ten zarzut i jej zrobićby można, i ona uczuła potrzebę miłości dopiero po zapewnieniu się, że proponowana partja wszystkim konwenansom odpowie. Lecz nie dziw, że nie myślała o tem: jesteśmy przedewszystkiem egoiści i nawet najsprawiedliwsi z pomiędzy nas, daleko łatwiej sobie wybaczą niż innym.

Takież same pytania lubo w cokolwiek inszej formie, mógł sobie zadąć pan Jan.

Oboje chcieli otrzymać dowód że są kochani. Gdyby wiedzieli o tem, że tego chcą oboje, dosyć byłoby, żeby każde dało dowód że kocha, co byłoby może łatwiejszym. Nie mogąc zgadnąć swoich myśli wzajemnie, każde z osobna nie poczuwało się do tego obowiązku, żądało od drugiego aktu, którego spełnić samo nie widziało potrzeby. Był to brak uczucia sprawiedliwości, wspólny wszystkim ludziom pod słońcem. Każdy woli być obdarzonym, ażeby się potem odwzajemnić, nikt się nie spieszy wprzód obdarzać, — bo też i prawda że nie jeden o odwzajemnianiu się nie myśli. Tak naprzykład nasi bohaterowie, wymagali wzajem od siebie dowodów miłości, czy zaś które myślało o tem żeby w razie otrzymania tego dowodu odpłacić się również dowodem swoich uczuć, za to w sumiennosci powieściopisarskiej ręczyć nie możemy.

Stało się tedy, jakby na dowód, że nie ma miłości bez przeszkody, że obie strony w partji najodpowiedniejszej, kochając się wzajemnie, postawiły sobie przeszkody i to przeszkody nielada.

(d. c. n.)

## PRZYCZYNKI

DO HISTORJI LITERATURY Powszechniej.

Sandor Petöczi

Poeta Węgierski.

(Dalszy ciąg).

Te burze i boleści dosyć swawolnych uczuć zapełniają większą część zbioru z r. 1844. Wido- cznem jest jednak, że poeta niewyczerpał się w tych hulankach, po gwałtowności niektórych jego strof, po silnych zwrotach języka, widąc że dusza jego zdolna do wydania innego nastroju tonów. A i w tym zbiorze chociaż śpiewa zakazane miłości lub przyjemności wizji trunkowych, nie obudza w czytelniku złych pożądliwości, nie rozmięcza go, bo co chwila wraca do życia czynnego, jednym krzykiem, jednym obrazkiem, jednym wybuchem natchnienia lirycznego. Postuchajcie jak woła w czasie tych wesółych bahanalji, zaledwie włada rozumem a jednak wyrzuca jeszcze potężne słowa.



„Co za noc! to niby druga noc bitwy pod Mohaczem! Wino wyobrażało Turków a ja i moi koledzy byliśmy Węgrzy. — Niech diabli wezmą doskonałeśmy pili! szczególnie w ten czas, kiedy król... chcę powiedzieć rozum nasz, został wysadzony z siodła przez nieprzyjaciela. Piliśmy, śpiewali.

Chociażby jaki przedmiot nie wiem jak go zajmował, chociażby się zanurzył w najwyuzdańszą hulankę, duch węgierski stoi zawsze przy nim. Gdyby pieśni jego nie opiewały nic innego tylko miłości i pijanstwo, nie byłyby się nigdy podniosły na wysokość narodowych pieśni, ale po za studentem, lgnącym do świata, po za komedjantem upijającym się, widzę zawsze Węgra i na tej to zasadzie rodacy jego uznali go za największego swojego poetę. Jego duch i jego mowa, jego ruchliwość, jego chęć wojownicza, jego przywiązanie do konia, jego bujanie po stepach, otóż co się tak spodobało Węgom.

Cóż może być piękniejszego, jak kiedy przy okłaskach całego kraju, kreśli taki obraz węgierskiego konia:

„Mój koń to nie angielski koń z krzywymi nogami i szczerplutką piersią! Mój koń to nie niemieckie bydlę ogromne, tłuste, o szerokich łopatkach, istny słoń zaledwie się poruszający.”

„Mój koń, to węgierskie źrebię, dzielne źrebię czystej krwi węgierskiej! Tak starannie utrzymuję go, że słońce nawet lubi się przeglądać w jego jedwabnej sukni.”

„Nie urosło ono w stajni, nie było w szkole jak konie rasowe! Urodziło się na wolnym powietrzu, złapałem go na szerokim stepie Małej Kumanji.”

„Nie włożyłem nigdy na niego siodła, bo prosta dera wystarcza mi do siedzenia na koniu; jak tylko wskoczę na niego leci jak błyskawica, bo koń mój to rodzony jęj brat.

„Lubi nadewszystko biegać ze mną na puszcze, bo tam jest jego miejsce rodzinne! Kiedy go skieruję w tamtą stronę, to się wyciąga z radości, bije kopytem o ziemię raźniej i rzy wciągając nozdrzami stepowe powietrze.

„We wsi zatrzymuję się przed kilkoma domami gdzie są ładne dziewczęta, najpiękniejszej z nich proszę o całusa i o kwiatek i odjeżdżam jak wichur.

„Mój koń szybki jak wiatr leci gdzie ja chcę! Gdybym mu słówko powiedział, toby ze mną poleciał aż po za świat. Piana pryska z jego ust, całe ciało kurzy się, ale i piana i para to nie znaki zmęczenia, to ogień co bucha ze wsząd płomieniem.

„Bo mój koń nigdy się jeszcze nie zmęczył! Gdyby mu się to przytrafiło, nie radbym był z tego, bo długa jeszcze moja droga po ziemi, bo granice moich myśli i żądań bardzo jeszcze dalekie.

Daléj naprzód mój koniu! Daléj naprzód mój towarzyszu! Przebiegaj równiny i przeskakuj skały!

Zamieńmy w tym porywającym ustępie wyraz koń na pegaz, a będzie to najdoskonalszy wizerunek Sandora Petoefi, nakreślony własną jego ręką.

Przez następne dwa lata 1845 i 1846 jedne po drugich pieśni i poematy płynęły z jego męskiej duszy. Są to po większej części długie opowiadania zabawne lub poważne, niby małe eposy brane z podań i legend, albo też z obyczajów węgierskich. Przytaczam ich tytuły: *Młot Wiejski*, *Sen Magiczny*, *Salgo*, *Przekleństwo Miłości*, *Szylay i Pista*, *Marya Szeeki* a nadewszystko bohater *Janek* (Janos), prawdziwe arcydzieło wdzięku i namiętności, marzenia heroiczne i czułe opowiadania na pół z uśmiechem na pół ze smutkiem. Jest tam jakiś odcień starych trubadurów, bardów, minesingerów; tyle tam nagromadzonych bajecznych wypraw, podróży szybkich jak piorun z północy na południe, ze wschodu na zachód, macie tam całe królestwa podbite w jednej godzinie, macie cudowne wypadki spełnione jak zwykle codzienne życie, a przez to wszystko, przeglądają wszędzie wszystkie najtajemniejsze właściwości węgierskiej natury.

Podaję w skróceniu treść *Bohatera Janka*, o ile można słowami samego poetę.

Młody wieśniak, spokojny i zakochany paś trzódę swego pana na pochyłościach Karpackich gór. Nie daleko ztamtąd, śliczna czarnooka Iluska, kłęcząc nad brzegiem strumyka, moczyła płótno w bieżącej wodzie. Janek i Iluska spotykali się nieraz; jak on lubi patrzeć w jej czarne oczy na jej czarne włosy, tak ona lubi słuchać jego męskiego głosu! Ale w cóż się obróci robota, kiedy młodzi zaczęli patrzeć na siebie? Iluska dostała porządną burę, ale z Jankiem gorzej się stało; wilk pojadł owce a pan wypędził go ze służby. Jak tylko noc nastała, Janek wraca do wsi, podchodzi pod okno Iluski; wyjmuje flet i gra smutną melodię, tak smutną że gwiazdy nocne płakały nad nią, bo te krople wody na liściach drzew, na kwiatach to nie rosa to łzy gwiazd, powiada poeta. Na dźwięk znajomej sobie muzyki, Iluska przebudziła się i pobiegła do okna, gdzie zobaczyła swojego kochanka ale bardzo smutnego. Opowiedział jej swoje nieszczęście i kończy: „musimy się rozłączyć, pójdę w świat, ale nie idź za mąż, czekaj na mnie, wrócę bogaty.” Niech cię Bóg prowadzi mój drogi, myśl ciągle o mnie bo ja ci wierną będę.”

I poszedł w świat, z oczami pełnymi łez i szedł sam nie wiedząc dokąd, szedł całą noc a wełniana jego burka niezmiernie mu ciążyła: ani się domyślał biedny Janek, że to serce smutne tak ciężko ciąży człowiekowi.

„Kiedy się słońce podniosło i odesłało księżyc do domu, Janek ujrzał na około siebie, niby morze jakie, nieprzejrzaną puszcę. Od wschodu na zachód rozciągała się przed jego oczami przestrzeń jednostajna bez końca.

„Ani jedna roślina, ani jedno drzewo, ani jeden krzaczek nie pokazał się oczom. Na trawach, na tych kwiatach ziemi, błyszczały krople rosy. Na lewo od wschodzącego słońca czerwieniło się jezioro, wyhaftowane zielonymi brzegami, niby szmaragdami.

„Nad brzegiem jeziora stała na jednej nodze czapla i pożerała złapane ryby, inne ptaki latały po nad wodami, i nie raz skrzydłami mąciły ich spokojną powierzchnię, a Janek szedł ciągle, nie odpoczywając wcale, ścigany wszędzie czarną myślą z czarnym wspomnieniem. Napróżno słońce marnowało dla niego wszystkie swe przepychy, bo w sercu Janka głęboka noc panuje.”

Ogromna przestrzeń kraju równego między Cissą i Dunajem jest ulubionym przedmiotem muzy Sandora, bo przebiegał on nieraz na koniu te niezmierne a poetyczne stepy. Ale ta naiwna historia wiejska, ta ucieczka młodego wieśniaka, jego wędrówka po samotnej puszczy, wszystko to jest tylko wstępem do poematu: posielance następuje opowiadanie bohatera. Janek spotyka żołnierzy i zaciąga się do pułku. Każdy Madziar umie jeździć na koniu, to też i młody nasz pasterz, stanął wkrótce w pierwszym szeregu między huzarami Matiasza Korwina. Jak pyszną miał minę w czerwonych spodniach, z rozpuszczonym dolmanem i z szablą świecącą się od słońca. Armia węgierska w której nasz bohater służył szła na bardzo ważną wyprawę: niosła pomoc

królowi francuzkiemu przeciwko Turkom. Marsz był długi i nuzący bo trzeba było przebyć kraj Saracenów, Italję, Indję; za Indjami dopiero niedaleko już jest Francja.

Wyborne obrazki, w których doskonale odbijają się marzenia węgierskiego ludu, niewyraźne pojęcia ze wspomnieniami wojowniczymi, cudaczna geografia jaką sobie wymyślił! „Czemże jest świat dla madziarskiego wieśniaka? mówi Kertbeny. Na granicy jego puszczy zaczynają się już nieznanne dla niego krainy, jeżeli wie choć trochę o nich, to się dowiedział o tem od jakiego starego inwalidy, przybyłego z Włoch lub z Austrii a może też od jakiego wędrującego z towarami żyda. Do tych wiadomości tak z powietrza chwytyanych, dodaje on mnóstwo historycznych podań o Turkach i Tatarach i ztąd urosły bajki i legendy, opowiadane po wsiach na wieczornicach.”

Opowiadanie to przeniósł Petoefi żywcem do swojego poematu, i dla tego poprowadził Węgrów do Francji przez Tartarię i Indye. Któż zresztą nie zna historii Węgier w XVI wieku? Wszak żołnierze Hunjada i Matiasza Korwina bronili Europę przeciw napadom otomańskim, a ową Europą dla dawnych Węgrów jak i dla dzisiejszych wieśniaków była Francja, która im dała na tron świetną rodzinę Andegawęńską. Tak się tłumaczy podanie ludowe wyprawiające Węgrów na pomoc Francji przeciwko Turkom.

W drugiej części *Bohatera Janka*, nie trudno domyślić się fantastycznego symbolu niezmiernie dziwnych przeznaczeń Węgier. W chwili kiedy przybyli do Francji, Turcy grabili w najlepsze tę piękną krainę: kościoły były rozbite, wsie spustoszone, żniwa strątowane, a winnice obdarte. Król wygnany ze swego pałacu, błąkał się zrozpaczony po tych ruinach, bo obrzydliwa ta dziec porwała mu córkę. Tułał się tak wszędzie wołając do swoich oswobodzicieli: „Moja córka, gdzie jest moja najdroższa córka! „Kto mi ją odda ten dostanie ją za żonę”. Każdy z Węgrów myślał sobie w duchu, że zginie lub odbije królową. Janek tylko nieczuły był na tę pokusę, bo stała mu na myśli jego wieś, a w niej, o czarnych oczach Iluska. Mimo to on zabił tureckiego baszę, on uwolnił córkę królewską i gdyby był jedno słowo wyrzekł, byłby panował nad Francją — ale Janek nie waha się ani na chwilę, bo Iluska przyrzekła czekać na niego; to też zebrawszy wielkie skarby wsiada na okręt i płynie do swego kraju. Na nieszczęście zaskoczyła go straszliwa burza — zaledwie życie ocalał, bogactwa poszły na dno morskie. Janek nie dba o bogactwa żeby tylko mógł zobaczyć swoją Iluskę. Niestety! kiedy przybył do swojej rodzinnej wioski, Iluska już nie żyła.

W dalszym ciągu poematu Sandora Petoefi: widzimy znowu puszcę, olbrzymów, wróżki, dobre geniusze a wreszcie owe sławne w powieściach węgierskich morze Operenzer, leżące na kończynach świata. Janek na barkach olbrzyma przebywa te święte wody i dostaje się do królestwa miłości gdzie znajduje swoją Iluskę.

Tym to sposobem w jednym poemacie *Bohater Janek* wyśpiewał Petoefi wszystkie legendy i wspomnienia ludowe. Nie ma tam ani odrobiny naukowej pretensyi, bo chce mużę swoją uczynić przystępną dla wszystkich. *Bohater Janos* jest przede wszystkim poematem wieśniackim i kawalerzysty, napisanym to z zapalnym uniesieniem to z rozkoszną wesołością.

Powiadają że utwór ten Sandora Petoefi śpiewają od Dunaju aż do Karpat. I nic dziwnego, bo cóż to za śliczna poezja! Styl jedyny i pełny, wyobraźnia żywa i rzutna, opowiadanie porywające i pełne uroku, a wszystko to biegnie, niby węgierski jeździec po rodzinnych stepach.

Właśnie w epoce, kiedy Petoefi dokończył swojego *Bohatera Janosa* spotkał w towarzystwie młodą i śliczną panienkę, której wdzięki oczarowały go. Panna ta umarła nagle mając zaledwie szesnaście lat, to też poeta zobaczywszy ją na śmiertelnym łożu, poczuł nagle jak mu była drogą. Wszyscy ci, którzy go znali, świadczą o gwałtowności i szczero-



ści jego uczucia. Rozrzucające wiersze, poświęcone tej idealnej namiętności przeważały *Listkami Cyprysu*, a wszystkie mówią do nas głęboką alejęczystą boleścią. Rzeczywiście dusza jego wyrwała się już z objęć hulaszczęj młodości; po owych rozkiełzanych miłostkach studenta i włóczęgi, następują przywiązania czyste i prawe. Owa blada Etelka, tak kochana na łożu śmierci natchnęła mu nieraz tony godne Petrarki. Był to pierwszy symptomat przemiany moralnej, która coraz wydatniejszą pokazuje się z czasem, a która nadaje szczególne jakieś zajęcie owemu żywotowi tak wcześnie i tak zagadkowo przerwanemu. W jego nieunoszonej naturze miłość połączy się z innymi szlachetnymi namiętnościami: z zamiłowaniem sztuki. Ton jego piosnek zmienił się także, chociaż brzmie w nich zawsze naturalna żywość i niewymuszona wesołość, są już dużo poważniejsze — jeżeli można tak powiedzieć są czystsze.

W jednym np. miejscu śpiewa:

„Kto myśli że miłość jest niewolą, ten nigdy nie kochał! Miłość obudza zapał, miłość dodaje skrzydeł, to też z jej pomocą bardzo łatwo dostajemy się w anielskie krainy!”

Ale nie myślcie że Petoefi utonie w miłosnej sentymentalności, że zapomni ziemi — rozmarzona germańska melancholia nie jest w jego naturze. Obok serdecznych uczuć i miłosnych uniesień umysł Sandora jest zawsze czujny i zdrowy. Ztąd to pochodzi dziwny urok i oryginalność pieśni Petoefiego.

„Precz, precz z mego czoła trosko! Precz ty czarny i ciężki kasku, który mnie gniesz i ranisz! Pójdź wesołości, ty lekki i świetny hełmie, na którym powiewają pióra w najfiłarniejszych porywach!”

Precz odemnie trosko, ty madejowe łoże na którym serce męczeńskie znosi cierpienia! Pójdź wesołości, ty poduszko łagodnych puchów, na której tak słodko położyć głowę i biedz myślą w etery niebieskich wyżyn.

Precz odemnie trosko, ty zdradziecki dziurkacz, co się wbijasz w moje serce! Pójdź wesołości, ty przesłonna wiązanka z kwiatów tak świetnych i pachnących.

Pójdź wesołości, moja najlepsza przyjaciółko, będziemy obchodzić nie tyle jakie święto, ale święto jakiegośmy nigdy jeszcze nie obchodzili.

Pójdź wesołości, rozepnij tęczowe łuki po nad lazurowym namiotem przestrzeni; zamknij rozum bo serce moje zaczyna tańczyć.

Cóż to za święto? pytasz się — o! wielkie bardzo święto, bo dziś dowiem się czy moja najulubieńsza kocha mnie czy nie!

Jeśli powrócimy od mojej kochanki a nie przyniesiemy jej serca, to cię moja droga wesołości odprawię od siebie, i nigdy cię już nie ujrzę.

Ale hańba żołnierzowi, który z bojażnią w sercu idzie do bitwy. Biegnijmy co tchu moja wesołości naprzód, bo tu chodzi o śmierć lub życie!”

(d. c. n.)

## OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH  
w Warszawie.

Obraz p. Suchodolskiego, p. Jendego i słówko o obrazie  
pana Gersona i p. Lesera.

Pan Suchodolski artysta niezmordowany w pracy, mający pomysły czasami bardzo szczęśliwe, wystawił na widok publiczny obraz pod tytułem: hulaj dusza bez kontusza.

Pomiędzy płot żerdziany przez roztwartą wrótnię, wjeżdża powóz z uprzężą dzielnej piątki rumaków,

napelnionem bezkontuszowem gronem, spieszącem zapewne w odwiedzinę pobliskiego sąsiada. Gościenny gospodarz dojrzawszy z daleka miłych sobie gości, dogania konno jadący powóz i pragnąc w progach swego dworu powitać przybywających, przesadza przez żerdzie aby stanąć pierwszym u mety. W dalekiej przestrzeni po za jadącymi rozciąga się równina pusta, jałowa i bezludna jak step bez najmniejszego znaku życia, stanowiący jakby tło obrazu na którym grupa jadących przedstawia się jaszkrawiej w świetle nie lader ponętym, co i artysta miał zapewne na myśli.

Głównym tutaj szczegółem zatrzymującym oko patrzącego są konie, dzielne, pełne ognia, wprost przodami zwrócone do widza, a zatem w postawie niezmiernie trudnej; trójka lejcowa pędzi w lekkim galopie za którą widać w małej części dyszlowe klusem postępujące. Na koźle siedzący furman w kerezji i rogatywce, cokolwiek pochylony z miną jakby niezadowoloną pali z bata, przy nim i za nim wyglądają głowy jadących, witających gospodarza konno przez płot sadzącego. Witanie to jednak nie jest dość wyraźne, nie ma w twarzach koniecznego w podobnych razach ożywienia, tak dalece że budzi się mimowoli wątpliwość, czy powiewanie czapkami ma się stosować do jeźdźcy, czy do kogoś dalej w polu widzianego. Przytem jakkolwiek konie są ulubionym tematem dla artysty, którego rad w swych pracach używa i zawsze wykonywa je z wielkim talentem, jednak w rysunku z nich jednego jest błąd wielki, od którego nie uchronił się nawet sławny Wernet w przedstawieniu zgonu księcia Józefa. Mam tu na myśli konia z jeźdźcem przez płot przeskakującego. Swoboda jego, łeb w górę wzniesiony nie są naturalne. Przy podobnej przeszłości w biegu napotkaniej, koń zawsze zatrzymuje się i rozpoznaje jakby rachował się ze swymi siłami a później dopiero w jednym susie robi skok z nogami nieco podwinętymi. Przytem łeb ma ku ziemi zwrócony, bo nie dość przesadzić ale trzeba rozpoznać miejsce, aby w upatrzonym punkcie stanąć przednimi nogami. Postawa więc konia w przeskoku przedstawia zawsze nachylenie całego przodu ze łbem ku ziemi, a podniesienie tyłu do góry; jeźdźca zaś podanie się znaczne ku tyłowi, bo inaczej jak kamień z procy mógłby być wysadzony z siodła. O tej jednak konieczności, ani Wernet ani p. Suchodolski nie pamiętał. W obrazie Werneta koń wyciągnięty jak w zwykłym po drodze biegu, zawieszony w powietrzu, pomimo nurtów bystrzej rzeki w którą wskakuje, łeb ma na bok zwrócony zdając się przypatrywać niebezpieczeństwu po za sobą zostawionemu: koń p. Suchodolskiego w tej samej prawie także znajduje się postawie.

Jest to niezgodne z prawdą, z którą nigdy sztuka nie może i nie powinna być w rozbracie. Wprawdzie efekt więcej na tem zyskuje, i konie w cyrkach skoki wszelkie przez drążki i zaklejone obręcze podobnie malowniczo dokonywają, ale należy zwrócić uwagę, że koń cyrkowy ze skokiem na popis przez siebie robionym, jest wybornie oswojony, dopełnia go zawsze na jednej płaszczyźnie, przez jedną zapórę, więc wie jak naprężyć się, i że po skoku znajdzie grunt pewny bez żadnego dla siebie niebezpieczeństwa.

Koń pod zwyczajnym jeźdźcem nie jest w tak przyjaznych dla siebie warunkach, a przeskok każdy jest trudnym i niebezpiecznym, co zna dobrze i stara się od szwanku ochronić. Tego właśnie starania w koniach obu artystów nie widać, co dziwi wiecej że dotąd na tak rażący szczegół nie zwrócono prawie bacznosci.

Oprócz tej jednej uwagi koniom w obrazie p. Suchodolskiego nic więcej zarzucić nie można, i rysunek i koloryt ich wyborne, życie pryska z oczów, chrapy sapia i same zdają się wyskakiwać z obrazu.

Zadziwi może kogo obszernie rozpisanie się o koniach, nie zawsze w pracach malarskich pierwsze zajmujących miejsce, szczególnież też w utworach psychających je przewodnią myślą na zupełnie podrzędne stanowisko. Do takich według tytułu

należy i obraz p. Suchodolskiego, a jednak wbrew temu, konie stanowią tu główne postacie a ludzie na drugim pozostają planie. Traktowane też jako dodatek konieczny, zdają się być nie wykończeni, bez wybitnego wyrazu w twarzach mało pokazujących zarówno życia jak wesołości. Na całość jednak z zajęciem się patrzy i gdyby nie smutna myśl jaka obrazowi życie dała, byłby wcale ponętym, szczególnież dla lubiących konie.

Chodzą wieści ze Lwowa do nas nadbiegłe że obraz p. Gersona Władysława Łokietek na wygnaniu, ma być przeznaczony do reprodukcji litograficznej jako premjum dla członków tamtejszego Towarzystwa Sztuk Pięknych. Wybór to trafny, a jakkolwiek korespondent nazwał go sielanką historyczną, miłszym on stokroć niż sceny, w których trup treść obrazu stanowi. Wyłączam z tego jednak wydobyte z Wisły zwłok Wandy pana Lessera, Obraz ten do reprodukcji ma wszelkie prawa, jak równie i sielanka historyczna p. Gersona mianem tem uczczona przez korespondenta. Zarzut tylko jego, że dwaj żołnierze uzbrojeni w pancerze i kirysy na boku znajdujący się są niezręcznym dodatkiem, nie trafia zupełnie do przekonania. Obrazują bowiem oni wybornie niebezpieczeństwo przez jakie bohater przechodzi, kiedy nawet w śnie chwilowym musi być strzeżonym, przez wierną straż na chwilę go nie opuszczającą.

O obrazie p. Jendego kobieta ze lwem, już dawno należy się choć krótkie sprawozdanie. Ma on przedstawiać potęgę wdzięku kobiecego, którego przedstawicielki choć wątłe i słabe, gną ród męzki do swych kolan, i robią go posłusznym na najmniejsze swoje skinienie. Dla uwydatnienia tej myśli użył artysta lwa, co uderzeniem łapy zabija wołu najroślejszego, a jednym draśnięciem pazura płata go na szmaty jak krajczy najzręczniejszy. Lew zwyczajny z grzywą, wąsami i srogością w całej postawie, zwrócony jest mordą do kobiety gładzącej mu wąsy. Co do niej tak mało ma wdzięku a tyle pretensji, tak nieponętne wymalowana a nie odtworzona, że gdyby Wasz sprawozdawca znalazł się przy niej, uciekłby prędzej jak ukorzył. Żeby myśl w tym obrazie więcej się uwydatniła, należało koniecznie kobietę odziać urokiem tak ponętym, tak pełnym wdzięku i niewinności, żeby każdy mógł w niej odzyskać choć cząstkę ideału piastowanego w duszy.

Nie idzie tu o piękność klasyczną form powierzchniowych, ale o piękność duszy, która wybita na zewnątrz, w rysach twarzy, w uśmiechu, w spojrzeniu, wytwarza ów wdzięk nieoceniony, pociągający wszystkich, a każdemu podobający się choćby najwybredniejszemu. Taką kobietę jak litewską rusalkę ustawiłbym w całej postaci z nogą opartą na łbie lwa u stóp jej pokornie warującego i figlarnie grożącego mu palcem z uśmiechem małej złośliwości.

Takich kobiet nie brakuje w naszej ziemi, dla czegoż jedną z nich nie wziął p. Jende za wzór do swego obrazu?

## Pogadanka.

Kilka dni temu około kantoru wekslu na krakowskim przedmieściu, przy oknie napelnionem różnej nazwy monetą złotą, srebrną i papierową, zatrzymało się gronko flisaków przypatrujące się z wielkim zajęciem tak ponętnej i niezwykłej wystawie. Uśmiech jaki ożywił ich twarze, oczy iskrzące się niezwykłym blaskiem, roztwarte usta, wreszcie chwilowa nieruchomość wszystkich jakby wykutych z marmuru, jasno świadczyły o wewnętrznym ludzi tych zachwyceniu. Po małej chwili z kilku piersi wydobyło się westchnienie, na głowach poruszyły się magierki, i dało się słyszeć zapytanie cichym wymówione głosem:



— Czy to dukaty niemieckie — mówił głos — bo u nas takich nie widziałem.

— Już ci nie nasze odezwał się drugi, a śliczne urodne jak na dziwy.

— A pocóż tak publikują je przed ludźmi? człek patrzy i dziwi się, a potem markoci mu się własna chudoba.

— Żeby mi wzięść pozwolili, tobym chycił się z ochotą tych okrągłych cacek...

— I Marysi kupiłbyś korale — przerwał trzeci z figlarnym wyrazem twarzy. Pytający nie zwrócił uwagi na ten przycinek, patrzył ciągle w złoto z dziecinna ciekawością i znowu zapytał jeszcze ciszej.

— Co to na nich stoi napisane?

— A i po cóż w takiej cichości gadkę prowadzisz? Czy nie możesz głośniejsz gadać?

— Przy takim bogactwie, Walek waga się wszelakię hardości — odrzekł figlarz, bo strasznie łaskotliwy w krzyżach.

— Gdybym miał te dukaty — szepnął Walek jakby do siebie, tobym dopiero był szczęśliwy.

— A i cóżbyś zrobił?

— Już ja bym wiedział co z nimi zrobić.

— Kupiłby pewnikiem tratwę co z nią idziemy odezwał się figlarz — i wygnałby pisarza bo się z nim poswarzył.

— Pisarza jak pisarza, ale ciebie to choćby teraz zaraz?

— A ja kupiłbym sobie konie i karetę dla parady po Warszawie i wziąłbym Waleka za furmana, bo tego z bicia pęca a Janka za lokaja, i przebrałbym ich w liberyję.

— Jąbym sobie sprawił nowe buty ostro podkute — odezwał się Janek — i krzesałbym niemi ognia żeby ludzie widzieli jak to bogactwo przyświeca.

— Ej! bajdy! jąbym kupił edukacyi żeby mnie we wsi mieli za najrozumniejszego, to jużbym z prostactwem umiał sobie poradzić.

— Jąbym kupił las w naszej wsi i został w nim gajowym — odezwał się inny — tobym was wszystkich wodził jak na sznurku.

— A jąbym sprawił sobie ubranie od srebra i złota i mieszkał w ślicznym pałacu, żeby mnie ludzie czcili jasnością i ukłonem.

— Oj, bajbugi, bajbugi — odezwał się flis już starszy wiekiem w ciszy dotąd i z pewną obojętnością przypatrujący się rozrzuconemu za kratą złotu, o Bogu toście wszyscy zapomnieli, tylko każdy wydziwiał różne rzeczy wedle swego głupstwa i chciwości. A toć najprzód na podziękę należałoby Bogu ofiarą. Chodźta bo jeszcze jakie złe do was przystąpi.

— I cóż wam tak pilno Wawrzyńcze? Poczekajcie ja wam powiem co bym zrobił...

— Ej! nie wymyślisz tam pewno nic mądrego — odparł Wawrzyńcze — bo ja wam powiadam, że jakby takie wielkie bogactwo wpadło do garści z lekkością, toby wam wszystkim cudeńka przystąpiły do głowy i latalibyście w obłędzie po całym świecie jak głupi Ignacy, co go u nas we wsi nawet maluskie dziecko palcem wytyka. Chodźta lepij, bo przy swojej chudobie hardości nie nabierzecie, a z patrzenia tylko oskoma a profitu żadnego. Chodźta!

Uwaga rozsądna widać trafiła do przekonania, bo flisacy poprawili pasów, magierek i pociągnęli ku Wiśle nie oglądając się nawet za przynętą, co ich tak przed chwilą pilnie zajmowała.

Chętka łatwego i prędkiego z bogactwa się, to choroba od wieków nurtująca ludzkie plemię. Ulega jej wielu, najmniej jednak lud wiejski, jako nie zbratany z pomysłami, mającymi doprowadzać do tak upragnionego celu. Loterja i szarlataneria głównymi tu motorami, pomocniczą im karty o ile nie towarzyszy im namiętność chciwa wrażeń i wstrząszeń moralnych, lub chęć szukania jedynie rozrywki jakiej bezwarunkowo potęgnać nie można.

Porzucona Alchemia jako mrzonka nieprodukcyjna wyrodziła zastęp wyzyskiwaczy, polujących na chciwość ludzką jak chart na zająca. Niedawno jeden z amerykańskich przemysłowców ogłosił prenumeratę na pismo periodyczne, stanowiącą zarazem los na loterię z możliwością wygrania młodej ładnej panienki

z milionem złotych pasagu, którą szczęśliwy gracz obowiązany będzie zaślubić. Ochotników sypnęło się roje, summa posagowa z zapisów prenumeracyjnych już złożoną została, a reszta jaka wpłynęła do kieszeni dowcipnego wydawcy, przedstawia cyfrę dość ponętną wielkości. Jeden więc mały koncecik z bogactwa trzy na raz osoby i to kolosalną fortuną. Jakże tu nie uleść takiemu wabikowi. U nas szarlataneria jak roślina z pod obcej przesadzona strefy, jeszcze wątko i słabo się rozwija. Pokazuje tylko czasami różki przy pomocy ogłoszeń, których obietnicom nie każdy się oprzeć potrafi. Niechże więc pozbawiona wszelkich środków do swego rozwoju, uschnie jak najprędzej i jak chwast bezużyteczny wyrzuconą zostanie za progi naszego domowstwa.

Towarzystwo dobroczynności ratując się w kłopotach pieniężnych, wynajduje rozmaite środki zwiększenia tyle mu potrzebnych funduszy. W zeszłym tygodniu urządziło w Krasieńskim ogrodzie wyścigi wylecipedów czy też welocypedów, które nie wiele zgromadziwszy ciekawych, mały naturalnie przyniosły dochód tak pożytecznej instytucji. O zabawie kwiatowo muzycznej w Saskim ogrodzie, odbywającej się w dniu wyjścia Tygodnika, doniosę później. Nie ma wątpliwości że zgromadzenie będzie liczne, i że niemało grosza wpłynie z niej do Kasy Towarzystwa. Druga za to loteria do której zakupione fanty wystawione są do oglądania w Resursie kupieckiej, jakoś żadnym sposobem nie może losów swoich rozsprzedać. A są tam przedmioty i nader gustowne i niemałej nawet wartości po 100, 200, 400 i 750 rubli, kosztujące razem rs. 5000. Gdyby już nie myśl wspomżenia szczupłych funduszy Instytucji dobroczynnej, to sama nadzieja wygrania kosztownej rzeczy powinna zachęcać wielu do wzięcia w niej udziału. Tymczasem zaledwie połowę biletów rozsprzedano, a z drugiej połowy wynoszącej jeszcze 30,000 losów nie więcej podobno jak po 100 dziennie wypycha się między ludzi. Potrzeba więc rok najmniej czasu aby wszystkie wreszcie spieniężono. Za nadto tu wiele zostawiono dobrej woli publiczności, nadto zaufano celowi a za mało użyto rozgłosu, który przy zręczności umie grosz wyciągnąć nawet z worka najszczelniej zamkniętego. Publiczność zaś Warszawska nie jest skąpa a chętną zawsze do współudziału gdy idzie o ubóstwo, wyrastające jak grzyby w lesie na Warszawskim bruku. Jaka szkoda, że dla usunięcia go tak mało a prawie nic nie rozwinęto działania, o jakim był czas że dosyć mówiono i pisano. Dobre są bardzo myśli rzucane po piśmie perijodycznych o urządzeniu sklepu z robotami kobiet potrzebującymi zarobku; o założeniu kasy wsparcia dla podupadłych literatów, nic one jednak nie przeszkadzają uorganizowaniu miłosierdzia publicznego które rozpraszając się codziennie w datkach doraźnych pomiędzy ręce do nich wyciągane, po większej części próżniactwu tylko służą za zachętę.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

N. 75. Przyjaciela Dzieci wyszedł z druku i zawiera: Górale w Zakopanym (z drzeworytem.) Dominik Maguszewski (dokończenie). Wielkość dzieł Bożych w ich maleńkości. (dokończenie). Listy cioci do siostrzenicy o języku i literaturze polskiej, przez I. Kamocką. — Widok miasta Gibraltaru, (z ryciną). Bogactwo Joanki (z ryciną). Sen w kołysce (wiersz) p. Kazim. Jul. Jasińskiego. Rozmaitości. Korespondencja. Ukarała pycha (bajka). F. Mikorskiego. Cena w Warszawie miesięcznie kop. 35, kwartalnie rs. 1 kop. 5. Na prowincji, w Cesarstwie i za granicą, kwartalnie rs. 1 kop. 75.

## Symbolika kwiatów i roślin.

PRZEZ

profesora J. Berdan'a.

Róża jerychońska (Chèvre-feuille, *Lonicera Caprifolium* i *Perichymentum*), jest to dość piękny

kwiat, i przyjemnie pachnący, którego łodyżka będa, wijącą, używa się do pokrywania altan i ścian w ogrodach. Roślina ta pierwotnie pochodząc z nieco cieplejszych krajów od naszego, dziś tak się przyswoiła, że w niektórych okolicach, jak np. koło Kaźmierza lubelskiego lub Janowca nad Wisłą, zupełnie się dziko trafia. Ma ona jeszcze inną nazwę, to jest wiciokrzew, bo jest rzeczywiście krzewiną, długie wici tworzącą i wijącą się.

W starożytniej Assyrii, przypisywano temu krzewu szczególnejsze przymioty i był on także symbolem i przedmiotem czci. W teraźniejszej zaś symbolice jest godłem małżeńskiego związku i przyjaźni, a to z przyczyny zrosniętych w nim ze sobą parami liści, a jak w innych gatunkach tej rośliny, uchodzących pod nazwą *Lonicer* czyli *suchodrzewek*, to i kwiaty i owoce ukazują się zawsze parami. Kwitnąca znów gałązka z różą jerychońską, przesłana drugiej osobie, znaczy w emblematycznej mowie kwiatów: ofiarowanie jej przyjaźni i ulubienia.

Przy sposobności mówienia o róży jerychońskiej, niemożna tu zamilczeć o innej jeszcze roślinie, także różą jerychońską nazywaną, która wcale nie odznacza się kwiatami, bo takowe ma drobne, nikłe, i prędko opadające, lecz inną własnością i postacią, z kąd jej nazwę nadano. Jest to tak zwana prawdziwa *Rose de Jéricho*, czyli naukowo się wyrażając: *Anastatica hierochontica*, która rośnie pospolicie po miejscach piaszczystych lub od słońca spiekłych, w Syrii, Palestynie, Egipcie, na Kaukazie, w Krymie a nawet w południowej części Podola lub na Bukowinie, i zasługuje z tego względu na uwagę, że jest w wysokim stopniu rośliną hygrometryczną, czyli na wilgoć czułą. Corocznie powstaje ta drobna roślina z nasion i łodyżka jej podnosząca się lub na ziemi leżąca, nie jest dłuższą nad 3 do 4 cali, lecz bardzo gałęzista, okryta liśćmi grubymi, podługnymi, a kwiatkami drobnymi, białymi, bezszypuleczkowymi. W czasie dojrzewania jej owoców, liście natenczas już opadły, a pozostaje się sama tylko łodyżka, mocno gałęzista, która potem zsyca się, twardnieje, kurczy i w kłębek zwija. Wichry jesienne poruszając tym kłębkim, wyrwywają go najczęściej z korzeniem i często na brzegi rzek, jezior lub mórz unoszą. Jak tylko zetknie się z wodą taki kłębek, rozwija się wkrótce dobrowolnie; gałązki owej łodyżki wprzód do środka zwinęte, i niby listki róży w pączku nasładowujące, wyprostowują się teraz, a kiedy znów to wyjmujemy z wody, kurczy się po niejakiem czasie i zwija jak wprzód. Własność ta powtarza się za każdą razą, kiedy woda lub wilgotne powietrze ma przystęp. Dla tego szczegółu, zbierają umyślnie takie kłębki z tej roślinki powstałe, nazywają je różami jerychońskimi, i niekiedy dosyć drogo sprzedają. Ponieważ szczegół ten fizjologiczny, tak jest widocznym i uderzającym, lud chrześcijański utworzył z tego legendę, utrzymując, że roślina ta są ułamkami krzewu, na którym N. Panna pieluszki dzieciątka Jezus rozciągała, a z kąd poszła i nazwa róży jerychońskiej. Nadto owe róże, mają się corocznie same dobrowolnie w dzień Bożego Narodzenia otwierać, i to o tej samej godzinie, o której się Jezus urodził. Młodym zaś mężatkom, kiedy zaślubną, stawiają te róże w szklance z wodą lub na miseczce, przy ich łóżku, aby się przypatrywały powolnemu jej rozwijaniu się, a przez to nabierały odwagi i cierpliwości.

## O UBIORACH.

Paryż d. 7 Czerwca 1869 r.

Kilka słubów odbyło się w tych czasach w Paryżu, wśród zamożnych i wytwornych rodzin, które narzucają modzie nowe prawa. Opiszemy tu ubranie dwóch panien młodych, zupełnie odmienne od siebie.

Jedna z nich miała suknię z ciężkiej materyi białej, długą, powłóczystą, bez żadnego garnirunku. Stanik gładki spinał się na rząd atlasowych guzików. Szyję zdobił mały kołnierzyk koronkowy, point



d'Alañon, z bardzo pięknymi, spadającymi kłapkami, które zamiast broszki przepięte były w środku rozetką atłasową. Taką szarfą otaczała stanik w pasie, dwa niedługie końce spadały na przód sukni, przepięte rozetką, a w niej bukietem z kwiatu pomarańczowego. Mankiety z podobnej koronki, odwinęte były na wierzch wąskich rękawów. Welon iluzjowy, przytwierdzony nad czołem bukietem z kwiatu pomarańczowego, dopełniał ubrania.

Strój drugiej panny młodej, lubo mniej kosztowny świetnie się na pozór przedstawiał. Na spód szła suknia gładka z atłasu białego, z wyciętym stanikiem. Na wierzch spódniczka z jedwabnego tiulu cała przemarszczona w podłuż i przepinana plisami atłasowymi na dwa palce. U dołu kończyła suknią bardzo rzęśzysta rusza tiulowa. Staniczek przymarszczony, wysoki, kończył się u szyi ruszą iluzjową, która przechodziła z przodu w podłuż stanika aż do pasa. Rękawy długie złożone były z pięciu bufek, przepinanych plisą i rozetkami. Baskina Kamargo, upięta w festony rozetkami, dopełniała tego świeżego ubrania. Z tyłu spadała krótka szarfa z szerokiej wstążki atłasowej, z rozłożystą kokardą. Ubranie głowy składało się z liści pomarańczowych, z małymi paczkami bez kwiatów. Na to spadał wielki welon iluzjowy, z pod którego wybiegały długie loki.

Młoda mężatka obecna w kościele na ślubie, miała śliczną suknię jedwabną mienioną, w kolorach jasno popielatym i różowym. U dołu szedł wolant dosyć szeroki, przytwierdzony w górze ruszą jedwabną z téjże saméj materji. Rusza ta fałdowana rzęśisto w podwójne fałdy, była po obu stronach wystrzępiona ponieważ wyciągnięto nitki popielate, ztąd u ruszy została różowa frendzelka, co bardzo ładnie i świeżo wyglądało. Druga spódniczka, czyli baskina podpięta w festony, wygarniowana była podobną ruszą, przybrana rozetkami z tak samo wystrzępionej materji. Stanik podcięty na piersiach czworograniasto, w tyle wysoki, ogarniowany był taką ruszą. Pod spód szła koszulka naszyta walcusienką. Tego świeżego ubrania dopełniał mały kapelusik z jasno popielatą iluzji, którego prawie nie było widać z pod gałązek akacji różowej. Szarfę iluzjową, przybrane blondyną i rulonem różowym, spięte były na piersiach gałązką akacją.

Inna młoda osoba miała suknię białą organtynową na lilla jedwabną. U pierwszej spódniczki szły trzy wolanty szerokie na ćwierć łokcia, zakończone w górze ruszą jedwabną z lilla materji, wycinaną w ząbki w maszynie. Baskina podpięta w festony na kokardy lilla, miała nagarniowany w koło wolancik z podobną ruszą. Staniczek wysoki, lekko przymarszczony, ozdobiony był stojącą fryzką koronkową, podszytą delikatnym drucikiem, żeby nie opadała; u szyi zakończyła fryzę bogata brosza ametystowa. Szarfa lilla jedwabna, związana z tyłu na wielką kokardę z krótkimi końcami; dopełniała przybrania. Kapelusik do tego biały iluzjowy, przystrojony białym i lilla z listkami, ślicznie odpowiadał całości.

W ogóle suknie białe organtynowe na podwleczeniu różowym, lilla, niebieskim, cytrynowym, *vert anglais*, stanowią najmodniejsze ubranie dla młodych osób, tak na teatr jak na obiad proszony lub na wieczór. Nad falbaną organtynową idzie zawsze rusza odpowiedniego koloru. Na podwleczenie służy cienki kolorowy półbatyst, wybornie zastępujący materję.

Jako nowość ukazały się wielkie szalinowe chustki w pasy szerokie atłasowe, w różnych kolorach na tle białem. Z tych chustek układają baskinę na sukni białej alpagowej, co bardzo świeżo wygląda. Suknia powinna mieć garnirunek odpowiedni do pasów na chustce.

Wiele też sukien alpagowych, tak białych jak popielatych, zdobitych plisami z materji szkockiej w żywych kolorach. Wielka kokarda u szarfy z materji szkockiej, z krótkimi końcami, tworzy jakby baskinę.

## Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

### N. 31—36. Dziecinne ubrania.

#### N. 31. Spacerowy kostium dla dziewczynki od 8 do 14 lat.

Suknia z falbaną skośno skrojona ze szkockiej materji. Paletot bez rękawów z czarnego aksamitu, kaszmiru lub jedwabnej materji. Szarfa ze szkockiej materji. Kapelusik biały słomkowy ubrany czarną wstążeczką.

#### N. 32. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 4 lat.

Sukienka z białej alpagi, garniowana kłapkami i ruszą, które niebieskim kaszmiem są objęte.

#### N. 33. Kostium dla dziewczynki od 10 do 15 lat.

Suknia z wyciętym paletotem z bareżu tak zwanego *Argentine*. Kolorową materją obejmuje się gładko falbanki, jeżeli niemi garniowana sukienka, u paletota zaś materja ta fałduje się jak falbanka złożona podwójnie. Guziki, pasek ubranie rękawów także same. Płaski kapelusik słomkowy z dużą rozetką, z tego samego koloru wstążki jak ubranie u sukienki.

#### N. 34. Ubranie dla dziewczynki od 9 do 12 lat.

Suknia z letniej popeliny. Żakiet z piaskowego letniego korciku, z pliskami i rozetkami atłasowymi, nieco ciemniejszej barwy. Toczyk z angielskiej słomy, ubrany kitką z piór.

#### N. 35. Płaszcz od deszczu (Paletot) dla chłopczyków od 3 do 5 lat.

Paletocik ten pokrywający całkowicie ubranie robi się z używanego powszechnie materiału, zwanego *Waterproof*.

#### N. 36. Ubranie marynarskie dla chłopczyków od 5 do 8 lat.

Kaftanik i bufiaste do kolan sięgające spodeńki, z szarego koitu lub piki. Bluza i szarfa z czerwonej, w szare paski cienkiej flanelki. Objęcie kaftanika także same. Marynarski kołnierzyk z cienkiego płótna; czarne, skórzane wysokie buciki. Szare z czerwonym w paski półczochy.

## ROZMAITOŚCI.

*Lampy palące się pod wodą.* Dzięki odkryciu którego próby z najpomysłniejszym skutkiem odbyły się już w Paryżu, ludzkość uwolniona zostaje od strasznych klęsk wynikających z wybuchów w kopalniach, które tyle dotąd kosztowały ofiar.

Przechodzący około Mennicy paryżkiej, wieczorem w ostatnich dniach miesiąca kwietnia, uważali jakiś niezwykle ruch w obrębie jej gmachu, a nie dość na tem oddział straży miejskiej bronił przystępu. Wszystko to żywo budziło ciekawość, w krótkim też czasie nagromadziło się mnóstwo osób i wsparli się o nadbrzezną barjerę, wyteżalo wzrok chcąc dojrzeć, co może być powodem zachodu i dość licznego zebrania o tak niezwykłej porze.

Oto o co chodziło.

Wiadomo że powszechnie dziś używane w kopalniach lampy Davy'ego, niedostateczne dają światło, a nadto nie zapobiegają wypadkom powstającym z wydobywania się gazu w kopalniach węgla ziemnego, co skłoniło rząd angielski iż wyznaczył nadgródę 100.000 fr. temu, kto wynajdzie lepszy sposób oświe-

tlania kopalni, a głównie lampkę mogącą się palić bez zetknięcia się z powietrzem zewnętrznym.

Po wielu próbach i poszukiwaniach, wynaleziono lampkę z tlenu, ale chcąc żeby mogła palić się pod wodą, trzeba przeprowadzić gaz niezbędny do palenia za pomocą pomp nadzwyczaj kosztownych i wymagających czterech ludzi do obsługi. Tak więc wynalazek ten bynajmniej nie odpowiadał celowi.

Obecnie pp. Leauté i Denoyel, młodzi uczniowie Szkoły politechnicznej w Paryżu, wynaleźli lampkę której możliwości długo zaprzeczali uczeni, to jest lampkę odosobnioną, nie potrzebującą pomp ani powietrza i doskonale palącą się pod wodą. I właśnie robione z nią doświadczenia ściągnęły tłumy ciekawych, pragnących dowiedzieć się co się robi w Mennicy.

Członkowie Instytutu, uczeni chemicy i fizycy oraz redaktorowie najznakomitszych dzienników i wielu uczni Szkoły politechnicznej, zebrali się w oznaczonej godzinie na jednym z dziedzińców Mennicy, aby być świadkami mającego się odbyć doświadczenia. Wtedy nurek spuścił się do zbiornika głębokiego na 2 i pół metrów z zapaloną lampą, na dnie wody postawił lampę o blisko dwa metry od siebie, a światło jakie rzuciła tak było jasne, iż mógł napisać djamentem na szkłe, dzień i godzinę doświadczenia.

Lampa ta przeszła trzy kwadransy jasno i pięknym płomieniem paliła się pod wodą, poczem płonącą jeszcze wyniesiono z wody. Na ten widok wszyscy obecni doświadczeniu wydali radośne okrzyki, przyklaskując wynalazkowi co nowym blaskiem oświecenia Francję i tak nieobliczone dobrodziejstwa i korzyści zapewnia ludzkości.

## WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

### Torcik z mąki kartoflanej.

15 żółtek uwiercić w donicę wałkiem z cwiert funtem mialkiego cukru, wycisnąć całą cytrynę otarłszy wpięć cukier o skórę, dodać półtory filiżanki migdałów słodkich tłuczonych i 6 migdałów gorzkich. Wszystko wiercić razem 3 kwadransy, później dodać pianę, a na ostatku mąki kartoflanej kubek średniej wielkości.

Rondel płaski lecz duży wysmarowywa się masłem niesolonem wlewa masę i zaraz w piec wstawia, napalony jak na chleb pyłkowy, zostawiając bez poruszenia całą godzinę. Po wyjściu z pieca zostawia się torcik kwadrans w rondlu do przestygnięcia, a później lukruje i jeszcze w piec wstawia do obeschnięcia. Z wierzchu garniruje się konfiturami.

B. M.

## Korespondencja.

Pani Emilji Bra: Naszyjnik o jaki się zapytywano kosztuje rs. 6.

Pani Florentynie R. Suknię przyobiecano ufarbować za dwa tygodnie, ale zdarza się że i w sześć tygodni nie wykończy. To samo dzieje się z kapelusiami ryżowymi do prania.

Pani Julji E. Rękawiczki z psiej skóry z wycinanym brzeżkiem bez guzików kosztują kop. 60 zapinane na guziczki rs. 1. Rękawiczki glansowane męskie szyte kop. 75, stebnowane rs. 1 kop. 20. Rękawiczki jelonkowe do konnej jazdy rs. 1 kop. 20.

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawy, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzeński.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i tablica z krojami.